

**Część pierwsza**  
**Wokół pani Swann**



Kiedy pojawiła się kwestia zaproszenia po raz pierwszy na obiad pana de Norpois i matka wyraziła żal, że profesor Cottard jest w podróży, a ona zupełnie przestała odwiedzać Swanna, jeden i drugi mogliby bowiem niewątpliwie zainteresować byłego ambasadora, ojciec odrzekł jej, że obecność gościa tak sławnego jak Cottard, znakomity uczonec, nigdy nie zaszkodziłaby przy stole, ale Swann ze swym pozerstwem i manierą przechwalania się byle znajomościami to pospolity bufon, którego bez wątpienia markiz de Norpois znalazłby, posłużywysy się jego własnym określeniem, „cuchnącym”. Otóż słowa ojca wymagają kilku słów objaśnienia, niektórzy mogli bowiem zapamiętać Cottarda jako postać nader nieciekawą, pełnego zaś skromności i dyskrecji Swanna jako światowca, który posuwać zwykł swą delikatność i towarzyską ogładę do ostatecznych granic. Jednakże gdy idzie o tego ostatniego, dawny przyjaciel rodziców dodał tymczasem do „Swanna syna” i Swanna z Jockey Clubu kolejną osobowość (jak miało się okazać, nie ostatnią), a mianowicie małżonka Odetty. Przystosowując do właściwych owej kobiecie mierzonych ambicji instynkt, pasję i spryt, jakie zawsze posiadał, starał się usilnie wyrobić sobie nową pozycję, zdecydowanie niższą od dotychczasowej, odpowiednią za to dla towarzyski życia, z którą miałby je teraz dzielić. I tak oto objawił się jako całkiem inny człowiek. Ponieważ dawnych osobistych przyjaciół odwiedzał w pojedynkę, nie chcąc narzucać im towarzystwa Odetty, skoro nie objawiali chęci, by ją poznać, zaczął prowadzić z żoną drugie życie w kręgu nowych znajomości; i można by jeszcze zrozumieć, że pragnąc podnieść ich rangę (a tym samym,

zaspokajając miłość własną, czerpać przyjemność z faktu przyjmowania ich u siebie), nie porównywał ich z najświetniejszymi z ludzi, w których kręgu obracał się przed ślubem, lecz z dawnym towarzystwem Odetty. Ale nawet wiedząc, iż łaknie stosunków z nieokrzesanymi urzędnikami i ich niezbyt rozgarniętymi żonami – ozdobą ministerialnych balów – dziwiono się, słysząc jak ten sam Swann, który przedtem (a nawet jeszcze teraz) ukrywał z takim wdziękiem zaproszenia do Twickenham<sup>1</sup> czy też Buckingham Palace, ogłasza teraz chępliwie wszem wobec i każdemu z osobna, że małżonka jakiegoś zastępcy szefa gabinetu złożyła wizytę jego żonie. Ktoś może powie, że miniona bezpretensjonalność tamtego eleganckiego Swanna była jedynie nader wyrafinowaną formą próżności i, jak zdarza się to czasem w wypadku Izraelitów, dawny przyjaciel moich rodziców uosabiał jeden po drugim kolejne etapy, przez które przeszli ludzie jego nacji, począwszy od skrajnie prostodusznego i grubiańskiego zarazem snobizmu po najbardziej wyrafinowaną uprzejmość. Najistotniejszym powodem jego przemiany (dotyczy to skądinąd całej ludzkości) było jednak to, iż nasze walory same w sobie nie są czymś swobodnym i płynnym, z czego w każdej chwili możemy dowolnie skorzystać; z czasem kojarzą się one w naszym umyśle tak ściśle z okolicznościami, w jakich zwykliśmy po nie sięgać, że kiedy przyjdzie nam zmierzyć się z odmienną, zupełnie nową dla nas sytuacją, zbija nas to z tropu tak bardzo, iż nie myślimy nawet, aby się nimi podeprzeć. Swann, tak gorliwie zabiegając o nowe stosunki i chępiąc się nimi, przypominał owych wielkich, a przy tym skromnych artystów, którzy u schyłku życia oddawszy się gotowaniu czy ogrodnictwu, z prostoduszną satysfakcją wysłuchują pochwał pod adresem swych potraw albo i ogródków, nie dopuszczają jednak najmniejszej krytyki, jaką kiedyś tak chętnie przyjmowali wobec własnych arcydzieł, i mimo że potrafią ofiarować komuś za darmo swoje płótno, popadają w zły humor, przegrawszy czterdzieści sous w domino.

Jeśli idzie o profesora Cottarda, spotkamy go na dłużej o wiele później, u „szefowej” na zamku de la Raspelière. Tymczasem zadowolmy się

1 Twickenham – chodzi o rezydencję York House w londyńskim Twickenham, gdzie Orleanowie przebywali podczas emigracji w Anglii.

względem niego poniższą obserwacją: otóż przemianę Swanna można było w ostateczności uznać za zaskakującą, tym bardziej że dokonała się ona poza moją wiedzą, w czasach kiedy ojca Gilberty widywałem tylko na Polach Elizejskich, gdzie zresztą nigdy nie odezwał się do mnie słowem, a zatem siłą rzeczy nie mógł popisywać się przede mną stosunkami w świecie polityków (prawdą jest skądinąd, że nawet jeśli by to robił, zapewne nie od razu zdałbym sobie sprawę z jego próżności, albowiem opinia, jaką żywimy o kimś przez czas dłuższy, zasłania nam oczy i zatyka uszy; moja matka przez trzy lata nie spostrzegła, że jedna z jej siostrzenic maluje sobie usta, tak jakby szminka stała się doskonale niewidoczna, rozplynęła się w jakimś fluidzie; trwało to do dnia, gdy za sprawą jej nadmiaru, a może z innej jakiejś przyczyny, wystąpiło zjawisko zwane przesyleniem i niewidzialna dotychczas szminka się skryształizowała, matka zaś wobec tej nagłej rozpusty barw oświadczyła siostrzenicy, bardzo w stylu Combray, że jest to hańba i zerwała z nią niemal wszystkie stosunki). Z Cottardem rzecz miała się odwrotnie; po pierwsze, dawno minęły czasy, kiedy można go było oglądać jako świadka pierwszych kroków Swanna u państwa Verdurin, a z wiekiem pojawiają się zaszczyty i oficjalne tytuły; po drugie, można być niewykształconym literackim ignorantem i autorem głupkowatych kalamburów, posiadając przy tym szczególny dar, jakiego nie zastąpi żadna kulturalna ogłada – dar wielkiego wodza albo klinicysty. W istocie, koledzy Cottarda widzieli w nim nie tylko nieoświeconego praktyka, co z czasem zyskał europejską sławę. Najinteligentniejsi z młodych medyków deklarowali – przynajmniej przez lat kilka, mody się bowiem zmieniają, a rodzą się z potrzeby zmian – że jeśli by kiedyś mieli zachorować, Cottard jest jedynym z ich mistrzów, któremu powierzyliby własną skórę. Ale też bez wątpienia woleli towarzystwo innych swoich szefów, bardziej obytych literacko i artystycznie, z którymi mogli porozmawiać o Nietzschem czy Wagnerze. Kiedy muzykowano w wieczory, podczas których pani Cottard przyjmowała kolegów i uczniów męża w nadziei, że zostanie on w końcu dziekanem fakultetu, on sam wolał grać w karty w przyległym salonie. Niemniej wychwalano szybkość i przenikliwość jego oka podczas stawiania diagnozy. Po trzecie zaś,

gdy idzie o obraz profesora Cottarda w oczach kogoś w rodzaju mego ojca, zauważmy, iż natura, jaką objawiamy w drugiej części życia, nie zawsze jest tożsama, choć często tak bywa, z pierwotną naszą naturą, rozkwitłą czy przywiedłą, wzmocnioną czy nadwątloną, niekiedy zaś staje się wręcz jej odwrotnością niczym przeniecowane ubranie. W czasach młodości Cottarda jego nieśmiała mina, skromne zachowanie i nadmierna uprzejmość wzbudzały, z wyjątkiem ślepo weń wpatrzonych Verdurinów, powszechnie docinki i kpiny. Któryż to litościwy przyjaciel doradził mu w końcu lodowaty wyraz twarzy? Powaga stanowiska dodatkowo ułatwiała mu przybranie obecnej postawy. Wszędzie poza salonem pani Verdurin, gdzie bezwiednie był na powrót sobą, stawał się oziębły i z rozmysłem milczał, a jeśli już musiał zabrać głos, wypowiadał się apodyktycznie, nie omieszkując przy tym mówić innym rzeczy nieprzyjemnych. Miał sposobność wypróbować swe nowe oblicze na pacjentach, którzy, nie znając go wcześniej, a zatem nie mogąc czynić porównań, byliby niezmiernie zdziwieni, gdyby im objaśniono, że nie jest on wcale tak szorstkim z natury. Dbał zwłaszcza o niewzruszony wyraz twarzy i nawet wówczas, gdy w trakcie spełniania szpitalnych obowiązków rzucał jeden ze swych kalamburów, z których śmiali się wszyscy, od pierwszego asystenta po najmłodszego stażem eksterna, ani jeden mięsień nie drgnął na jego obliczu, trudno skądinąd rozpoznawalnym, od czasu gdy zgoilił brodę i wąsy.

Na koniec powiedzmy jeszcze, kim był markiz de Norpois. Był on otóż przed wojną<sup>2</sup> ministrem pełnomocnym<sup>3</sup>, a w chwili kryzysu 16 maja ambasadorem, lecz mimo to, ku wielkiemu zdziwieniu licznych osób, powierzano mu potem kilkakrotnie w imieniu Francji specjalne misje

- 2 Chodzi o wojnę francusko-pruską (1870–1871), podczas której Francja poniosła klęskę. Kryzys 16.05.1877 był efektem tejże wojny i jego oś stanowiła wizja Francji, którą z jednej strony prezentowali rojaliści, a z drugiej zwolennicy republiki, którzy po usunięciu przez prezydenta Mac-Mahona premiera Jules'a Simona nie poparli nowego rządu. Po rozpisaniu nowych wyborów rojaliści zdobyli najmniejszą liczbę głosów wśród wszystkich ugrupowań, które dostały się do Zgromadzenia Narodowego.
- 3 Tytuł przedstawiciela dyplomatycznego drugiej klasy (według regulaminu wiedeńskiego z 1815 roku i konwencji 1961 o stosunkach dyplomatycznych).

(był nawet kontrolerem egipskiego długu, oddając ojczyźnie, dzięki swym finansowym talentom, istotne usługi), jakich zwykły mieszczkański reakcjonista nie przyjąłby od rządu radykałów, w których pan de Norpois, zważywszy na jego przeszłość, powiązania i przekonania polityczne, musiał przecież wzbudzać podejrzliwość. Ale, jak widać, ówczesni postępowi ministrowie zdawali się rozumieć, że nominacja taka dowodzi otwartości ich postawy, kiedy w grę wchodzi nadzędne interesy kraju, co stawia ich tym samym poza konkurencją pośród reszty polityków, dzięki czemu zasługują na to, by nawet „Journal de Débats” zwał ich mężami stanu, a w dodatku skorzystają z prestiżu arystokratycznego nazwiska i sensacji, jaką wzbudzić musi tak zaskakujący wybór. Wiedzieli też, iż zleciwszy mu wspomniane misje, sięgnąć mogą po wszystkie te awantaże, nie obawiając się ze strony markiza de Norpois braku politycznej lojalności, albowiem jego pochodzenie nie tylko nie wzbudzało w nich w tym względzie niepokoju, ale wręcz stanowiło jej rękojmię. I rząd Republiki bynajmniej się nie mylił w owej kwestii. Przede wszystkim dlatego, że prawdziwy arystokrata, wychowany od dzieciństwa w przekonaniu, iż nazwisko jest jego naturalnym przywilejem, którego nic nie może go pozbawić i z którego wartości równi mu albo wyżej jeszcze urodzeni dobrze zdają sobie sprawę, wie doskonale, że może sobie oszczędzić daremnych wysiłków, jakie bez większego powodzenia tak chętnie podejmuje burżuazja, głosząc wyłącznie „właściwe” opinie i składając wizyty jedynie ludziom „prawomyślnym”. Jest przy tym w pełni świadom, że jeśli pragnie zyskać w oczach najprzedniejszych książęcych rodów, pod którymi w arystokratycznej hierarchii bezpośrednio się lokuje, i wyróżnić się spośród tych, co są mu równi, dodać musi do swego nazwiska coś, co wcale nie jest mu przyrodzone: polityczne wpływy, literacką czy artystyczną sławę albo i wielką fortunę. A zatem, miast marnować siły na tak pożądane przez burżuazję stosunki z pomniejszymi hreczkosiejami i jałowe przyjaźnie, które zgoła nie przyniosłyby mu chwały w oczach książąt, inwestuje je w znajomości pośród polityków, niechby i masonów, mogących go wesprzeć w pozyskaniu ambasady lub wspomóc w wyborach, a także pośród artystów i uczonych, których wpływy pomogłyby mu się

„przebić” w sferach, w jakich sprawują władzę, i wreszcie we wszelakie koneksje, które przydałyby mu nowego blasku albo i ułatwiły bogaty ożenek.

Gdy idzie o pana de Norpois, przede wszystkim miał on za sobą długą dyplomatyczną praktykę i w jej trakcie zdążył nasiąknąć owym improduktywnym, rutyniarskim, konserwatywnym klimatem, zwanym „duchem rządowym”, który w istocie swej dotyczy każdej władzy, niezależnie od jej natury, a nade wszystko podlegającej jej biurokracji. W czasie swej kariery zdołał nabrać odrazy, lęku i pogardy do wszystkich mniej czy bardziej rewolucyjnych, a co najmniej niewłaściwych metod, jakimi zwykła posługiwać się opozycja. Z wyjątkiem prostaków z ludu albo i z „towarzystwa”, dla których różnice pomiędzy osobowościami pozostają martwą literą, ludzi zbliżają do siebie nie tyle wspólne przekonania, ile duchowe pokrewieństwo. Akademik w typie Ernesta Legouvé chętniej przyklasnąłby mowie pochwalnej na cześć Victora Hugo, wygłoszonej przez Maxime’a Du Campa lub Mézières’a, aniżeli apologii Boileau w ustach Claudela. Tenże sam nacjonalizm, jaki wystarczy, aby Barrès pozyskał wyborców (choć zapewne nie widzą oni wielkiej różnicy pomiędzy nim a panem Georges’em Berrym), nie wystarczy, aby zbliżyć go z tymi spośród kolegów z Akademii, którzy podzielają co prawda jego przekonania polityczne, ale obdarzeni odmienną osobowością przedkładają ponad niego swych adwersarzy, panów Ribota czy Deschanela, z którymi z kolei nieprzejednani monarchiści czują się o wiele bliżej niż z Maurrasem czy Léonem Daudetem, mimo iż ci ostatni także pragnęliby powrotu króla. Pan de Norpois – oszczędny w słowach nie tylko za sprawą zawodowego nawyku ostrożności i dyplomatycznej rezerwy, ale też dlatego że słowa nabierają wagi i zyskują na odcieniach w oczach ludzi, których dziesięcioletnie wysiłki, zmierzające do zbliżenia z sobą dwóch krajów, sprowadzają się, przekładają w oficjalnej mowie czy protokole do najprostszego, banalnego na pozór przymiotnika, który jednak dla nich mieści w sobie całe światy – otóż pan de Norpois miał opinię nader oziębłego w komisji, gdzie zasiadał obok ojca, któremu z kolei wszyscy tam gratulowali przyjaźni okazywanej mu przez byłego ambasadora. Najbardziej zaś zaskoczony jego względami

był sam ojciec, który z natury swej niezbyt towarzyski i lubiany, przywykł do tego, że nie cieszy się wzięciem poza kręgiem najbliższych znajomych, do czego zresztą przyznawał się z prostotą. Był przy tym świadom, iż o życzliwości dyplomaty decyduje jego osobista perspektywa, jaką każdy zwykł kierować się w swoich sympatiach, a najcenniejsze nawet przymioty czyjegoś umysłu lub serca, jeżeli dana osoba nudzi nas albo drażni, nie stanowią równie dobrej rekomendacji jak czyjaś pogoda ducha i kordialność, uchodzące w oczach wielu za frywolną i czczą pustotę. „Norpois znowu zaprosił mnie na obiad; coś niesłychanego! W komisji wszyscy są zdumieni, bo z nikim tam nie utrzymuje osobistych stosunków. Na pewno znów będzie mi opowiadał wstrząsające rzeczy o wojnie w 1870”. Ojciec wiedział, że pan de Norpois, być może jako jedyny, ostrzegał wówczas cesarza przed wzrastającą potęgą i wojennymi zapędami Prus i że Bismarck darzył jego inteligencję szczególną estymą. Ostatnio, podczas gali w Operze na cześć króla Teodozjusza, gazety odnotowały przedłużającą się rozmowę, jaką monarcha ten go zaszczycił. „Muszę się dowiedzieć, czy królewska wizyta rzeczywiście ma tak wielką wagę – rzekł ojciec, bardzo zainteresowany polityką zagraniczną. – Wiem, że papa Norpois nie jest skłonny do wynurzeń, ale przy mnie z takim wdziękiem się otwiera”.

Jeśli idzie o matkę, ambasador posiadał ów typ inteligencji, który chyba nieszczególnie ją pociągał. Winienem tu objaśnić, że w rozmowie pan de Norpois prezentował tak kompletny repertuar archaicznych form, właściwych swojej profesji, klasie i epoce (epoce, która dla tej profesji i klasy nie była może zupełnie minioną), iż czasem żałuję, że nie zdołałem zapamiętać dosłownie zdań, jakie miałem okazję usłyszeć z jego ust. Mógłbym dzięki temu łatwo osiągnąć efekt zamierzchłej mody równie niskim kosztem jak ów aktor z Palais-Royal<sup>4</sup>, który, zapytany o to, gdzie wyszukuje tak zadziwiające kapelusze, odparł: „Ja ich nie znajduję. Ja ich nie wyrzucam”. Jednym słowem, sądzę, że dla matki pan de Norpois był nieco „przestarzały”, co nie raziło jej bynajmniej,

4 Siedziba francuskiej Rady Stanu (Conseil d'État), Rady Konstytucyjnej i Ministerstwa Kultury, połączony z francuskim Teatrem Narodowym Comédie-Française (tu w takim znaczeniu).